

Pismo to wychodzi
trzy razy w tydzień
to jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek, o drugiej
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ś
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Kocha
i Schreibera.

PIĄTEK 23 LISTOPADA

N^{ER} 53.

1838 Roku.

TATABZY NA WESELU.

HISTORYJKA.

Czémżeto są nasze dzisiejsze wesela w miaz dawnych? — Śmieśznemi tylko parodyami. Nieprzywiązujem już do nich téj wagi, jaką miały przed laty, ani tego sakramentalnego znaczenia, ani tak wielkiej pamiątki. Dawniej raz się człek rodził, raz żenił, raz umierał, ślub był węzłem nierozzerwanym, to téż wesela wiodło za sobą obrzęd tak wielki i tak uroczysty jak urodziny lub śmierć. Prawda, że dawniej tylko dla formy mówiono na weselu o sercu, lecz wyobrażenia religijne, przekonanie o obowiązkach, sposób życia, zapewniały pokój, zgodę i to ciche, a stałe przywiązanie, które jeszcze widzim czasem w parach nierozłączonych staruszków, służących tylko za pośmiewisko ludziom naszego wieku.

Przed kilkuset laty, a jeszcze na dworze wielkich panów, to to były

wesela! Samo ich wspomnienie świeciło jak gwiazda w życiu pary pobranéj, do dni ich schyłku. Byłyto gody wesole, szumne, pyszne, mające swój rytuał rodziomy, niewzruszony i upoważniony odwiecznym zwyczajem, rytuał pełen symbolów, które dziś już tylko u niższych klass ludu pozostały.

Właśnie o jedném s takich wesel dawnych chciałbym wam powiedzieć — Nie, żebym je opisywał, bo któż się od razu całego obrzędu niedomyśla i o racyi, i bankietu, i huku dział, i muzyki i rozczulającego błogosławieństwa starych? — lecz dla jednego godnego wniém pamięci szeregółu.

Książę Konstanty Bazyli Ostrogski, Wojewoda kijowski, Marszałek wołyński, Starosta włodziemiński, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, dziedzic ogromnego księstwa, gotował się sprawić w jednym ze swoich zamków, Dubieńskim,

wesele Księżnie Beacie Dolskiej powinowatej i wychowawcy swojej, którą wydawał za księcia Solomereckiego. Obie te Książęce rodziny, dziś zgasłe i zapomniane, w ówczas jeszcze świeciły i zdawały się obiecywać długie pasmo potomków sławnych. Ciężka ręka losu padła na nie i — zgasła styła innemi!

Wszystko gotowe było do tego uroczystego obrzędu mającego się odbyć na zamku dubieńskim. Liczny zjazd gości sproszonych z daleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów, szlachty drobnej życzliwej domowi książąt Ostrogskich zawałał kołniami, kolébkami i ciżbą pacholat, podworce zamkowe. Niektórzy jeszcze cisnęli się i zbierali z różnych ulic miasta, niedając nawet przyskrzypać wrot zamku. Był to sam ranek dnia weselnego, ranek grudniowy, śnieżysty i ponury, powietrze niesło z sobą wilgoć, wyziwy ziemi i ciężko w pierśiach. Słońca nawet niewidać było za mglistą oponą chmur jednostajnie szarych; bo natura nigdy się nie stosuje do czynności do życzeń, i uczuć ludzi. Rzadko bardzo ulubieńcom losu świeci słońce pogodne w ich

dni uroczyste, i to historia między cuda swoje zapisuje. Kurczyli się od zimna przenikliwego śludzy na podworce i u wrot zamku, pokrzepiając się suto dostarczonym trunkiem. W ich rozmowach znać było i usposobienie do smutku pochodzące od pory i wesołość sztuczną jaką trunki wymusza na biednych, słabych, głowach ludzkich.

Wszyscy gotowali się do wesela; nie było kąta gdzieby go znać i czuć niebyło; wszystko się ruszało, kręciło, gadało, stroiło, szykowało, zacząwszy od kuchni palającej ogromnem ogniskiem, gdzie kuchmistrz spocony chrzypł od krzyku nad czterema sosami; aż do komnat panny młodej i pana młodego.

Mężczyźni zebrani, gadali, śmieli się i pokrzepiali śniadaniem, a że nie było we zwyczaju XVI. wieku u wyższej klasy, grać w kości albo się od rana upijać, skromny tylko brali posiłek, o wojnie, turniejach i koniach rozprawiając. Książę Solomerecki, błądy, młody, niebieskooki, chudy i cienki mężczyzna, rzadko się do rozmowy wtrącał i spokojnie tylko na wszystko się uśmiał. Coraz popra-

wiał na sobie paradnego ubioru na którym guzy brylantowe, rżłote błyszczały kutasy, ściszał rękojeść suto kameryzowanej katabeli; odrzucał wyloty i chodził wzdłuż komnaty. Miałéńki jego wymuskany wąsik; poruszał się uśmiechem; którym odpowiadał na wszystkie pytania.

U progu stał w nieładzie podróżnym zbrojny kozak ukraińiec; z seledcem zwieszonym; zbrojny w koszulę dróciańą; szablę; rusznicę; janczarkę; łuk i strzałę; z nożem u pasa; z workiem kół; s chustką paradną w wielkie kwiaty; z worem skórzanym na wodę; szabeltasem; nahajką; długim sznurem jedwabnym; prochownicą; i amóstwem innych drobnostek; składających dawné uzbrojenie kozaka. Mowę miał posępną i zamysłoną; wszyscy go pytali i zaczepiali; a on zwolna, lecz śmiało w swoim rodzinnym języku odpowiadał.

• I jakże, • odezwał się ktoś s tłumy, • są wieści o Tatarach? • — • Tak jak każdej zimy, • gdy wody staną, • odparł kozak, • gadają o nich i wygadają. Ciągną się gdzie dolinami chyłkiem. • — • Którędy? • — • Kto ich wie! Bóg

jeden co tę plagę zsyła. Jak przyjdą będzie się dymić za nimi i mogiłań drogę wysypią. Teraz ryją się gdzieś jak krefy; postrzedz ich niemożna. Może się już ciągną złodziejską doliną. • — • Wieleż ich być może? • — • Jak zawsze, tyle co szarańcchy, a więcej jeszcze koni niż ludzi; bo u nich i konie się biją, gdy u nas ludzie nięwszyscy potrafią. • — • Widział ich kto? czy to tylko słuchy zimowe? • — • Do téj pory słuchy tylko, ale kto się boi daleko widzi. • — • U stracha wielkie oczy; • dołożył ksiądz Makary kapelan. • Niech Książę Pan pošle po język. •

I na tém ucięła się rozmowa, a odprawiony ukraińiec, wyszedł. Książę zaś zaraz polecił swoich kilkudziesiąt kozaków wysłać na zwiady dolinami i zwykłym tatarów szlakiem.

Wieść o Tatarach spadła w śród samych przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku. I znowu od komnaty panny młodéj, aż do kuchni i zwodzonego mostu wszystko ją powtarzało i wszystko drżało od nięj; bo Tatarzy co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, gorsi byli

dła niej nad wszystkie plagi zagnięwanego nieba.

Ażeby wesela niezamroczyć, zakazał książę Wojewoda mówić o tém kobietom. Zakazał; — było właśnie sposób doprowadzenia jak najprędzej téj wieści od ich uszu. Wszyscy tak mieli tajemnicze miny, tak cicho szeptali, tak rękami machali, tak szable ostrzyli, broń opatrywali i tak umieli pokazać gryzącą ich w głębi tajemnicę, że nareście domysłne z natury przeczuły ją kobiety. Zony od mężów prędko się pod sekretem dowiedziały o co idzie, potem przyjaciółki przyjaciółkom, jak zaczęły podawać z ust do ust wiadomość tajemną, doszła ona aż do komnaty panny młodej, gdzie właśnie Księżnie Beacie, czarne jej długie rozpuszczano kosy dawnym zwyczajem sławiańskim.

Niewiem jak wam opisać pannę młodą. Niebyła ona ani piękna, ani wdzięczna, wysoka, blada, czarnobrewa, poważna choć młoda jeszcze, zupełnie się różniła od męża, który przy niej podobny był przebranej niewieście. W oczach jej tylko błyskał niezwykły ogień zapału, męstwa, wytrwania, stałości. Czoło wzniosłe,

gładkie, spokojne zdawało się wielkie myśli i piękną duszę pokrywać, usta małe, ściśnione, blade, oszczędne w wyrazy, nieotwierały się na próżne słowa, a rzadziej jeszcze na uśmiech. Cóż mogło łączyć tak różnorodną nowożeńców parę?? Oto — wola krewnych. W ich sercach nie się niedziało, nie niebiło, nie niewrzało, żadna namiętność, żaden pociąg. Ich ręce niespotkały się i niezadrzały przed związaniem u ołtarza; byli sobie obojętni, ale szli do tego związku spokojnie, bo nie mieli trującej przeszłości przyszłości, ani wstrętu do siebie; a ówczesny zwyczaj dawno ich do podobnego połączenia przygotował.

Kiedy panny służebne i drużki gwarzyć około Księżnej Beaty zaczęły i przestraszone Tatarami zapomniały złotych szpilek waksamitnych poduszkach spoglądając po sobie ze drżeniem, Księżna Beata jakby odcucona z myśli głębokiej, zapytała najbliższej podnosząc głowę.

»Cóż się stało?« — »Nic do-
tąd Księżna Pani,« odpowiedziała
zajakując się, »ale mówią — choć
książę Wojewoda mówić o tém
zakazał, że Tatarzy idą.« —

» Tu idą? — « Ah! zapewne tu! Cma słyszę niezliczona! Ja się tak strasznie boję Tatarów, » szczebiotała dalej. « Takie poczwarę ogorzale, s przyplaszczonemi nosami, ze ślępiami czar-nemi, z odstającemi uszami, co się rodzą ślepemi jak szczenięta, żyją końskięm mięsem i w świętą Trójcę niewierzą! o! jak ja się ich boję! » — « A ja nie, » odpowiedziała panna młoda odrzucając włosy, » bo pierwszego coby do mnie śmiał przystąpić pewnie-bym zadusiła. » — Wszystkie zamilkły i wszystkie uwierzyły. — » Wzięliby nas i odesłali do Šeraju Sultana swojego, ci ohydni poganie, » mówiła družka, » a choć cuda o nim prawią, niech nas Bóg wielony od tych roskoszy broni, a naprzód od ich wiary pogańskiej, wedle której, jak Książdz Makary powiada, kobiety niemają duszy. » — « Niemają duszy Panno Stanisławo, » zawołała Księżna, » a czemżebżyły! prawdziwie pogańska śle-pota! » — « I takimto ludziom możemy się dostać w ręce! » szeptały panny. — « Kto? my? » znowu odpowiedziała Księżna, » alboż tu nięma zamku, dział i ludzi, alboż nięma wody w Ikwie i pasa

u sukni, żeby się w ich oczach udusić. » — « Ale ich tyłu! » — » Nas mało, ale z nami Bóg chrześcijan i waleczyć będziem na swo-ich śmieciakach! » — Na te słowa pełne zapalu, a tak niezwyčajne w ustach kobiety, wszedł Książdz Wojewoda. — « Vivat heroino! » zawołał całując ją w czoło, » więc ty śmiała i odważna dziewi-ca nieboisz się Tatarów. Ale z resztą moja Panno jeszcze oni zapewne daleko, bo to są tylko głuche wieści. My tym czasem myśłmy o weselu. Jak utną z dział zamkowych na vivat, niech wówczas idą a przyjmiem ich dobrze, na rany Curystusa! »

W istocie niebardzo było czego się bać w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania, ta waro-wnia, której później Chmielnicki próbował nawet niechciał zdo-bycia — była dość mocna. Do ko-ła oblana wodą Ikwę, wielkiemi stawami otoczona, niezbyt wpra-wdzie wyniosła, ale dla muro-wanych a wysokich foss niedo-stępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jęj burzyć dzia-łami polowemi nięmogło. Trudno także było zapasne zameczysko dostać głodem, a Tatarzy, któ-

rym spieszny był powrót, nigdy tego próbować niemogli.

Tym czasem gdy w zaniku rosprowadzają o Tatarach; gdy się śnieżyście tumany rozrzedzają i dzień wyjaśniać zaczyna, gdy wysłani po język wyjeżdżają z miasta, strasząc po drodze mieszczan i żydów; w cęrkwi zamkowej stroją ołtarz do ślubu, a w zamku ucztę, która ma ślub poprzedzić, gotują.

Ah; gdzież się podziały te dawne gościnnie biesiady, na których pan, sługa jego, koń i pies, jak zesłańcy od Boga przyjmowani byli, czém stało, co było! Dzisiejsi dawnych Sławian potomkowie przyjęli już obce obyczaje, handlarskie, nizezemne, skąpe i zimne — ale szkoda dawnych, bo dawne nie były europejskie, nie były tak wykwiłtne, a szczerze za to i poczeiwsze. Dawniej egoizm musiał się ukrywać i wstydzic, dziś się z siebie chlubi i wysoko wynosi. Lecz dajmy temu pokój.

(DOKOŃCZENIE NASTĄPI.)

—ooooooo—

CZASY PRZESZŁE.

Laudatur temporis acti.

Za naszych czasów daleko się lepiej działo, mówił jeszcze wzo-

rań pewien staruszek. Niegdyś obyczaj były nietak zepsute, mówi nam codziennie moralista melancholiczny. — Pewną jest rzeczą, mówi inny, iż kobiety utraciły pierwszy powab zrzucając z siebie hamulec wstydu. — Bo i to także prawda; odzywa się stara kobiątka, że mężczyźni utracili ten kwiat zalotności, którym się zaszczycaли w dawniejszych czasach. A tak czas terażniejszy zawsze błędzi. Ta choroba wychwalania dawnych czasów ze szkodą terażniejszego, nie jest nowa, bo już Horacyusz z niej się naśmiewał, i cóżkolwiekbyśmy czynić chcieli, ulczyć jej niepotrafimy. — Czyliż ludzie niezawsze byli tēm, czém są? — Po wszystkie czasy ich wrodzona niespokojność powstaje na czas terażniejszy, a ich próżność w dawnym więcej smakuje. — W jednakowych okolicznościach, jednakowe przyczyny sprawują jednakowe skutki; mali ludzie robią małe rzeczy, a złe sprawy robią małych ludzi. Natura nie odmięniła się od przeszło czterech tysięcy lat; wydaje ona dziś jak dawniej lekarstwa i trucizny; potwory i bohaterów? — Gdzie to znalezione, iż my mniej wari jesteśmy od naszych przed-

ków? zapewne nie w historii, bo którażto historia nazywa swoich współczesnych, pokoleniem zepsutem i obłąkanem s toru swoich enotliwych przodków. — Różne czasy miały różne błędy i różne choroby, summa dobrego i złego zawsze była ta sama. — Nasi ojcowie odmiéniali kolejno: prawda, mody, zwyczaje, przesady i lekarstwa; ale co do natury? płacziwy staruszk! myśleć o tém, jest błędem, a mówić, szaleństwem. — Rzeczy, ludzie i świat zawsze są w jednakowym stanie; widzimy je w odmiennym sposobie, i przez związki jakie mają sterażniejszym smakiem, niepomiąg, jakżeśmy o nich dawniej sądzili. Wychodząc z dzieciństwa, wszystko dla nas jest mocnym, miłym i cudownym; edukacya poprzedza uwagę. Natura zdaje się dla młodości rozwijać, ożywiać i piękniać. — Powab rokoszy, rodzące się namiętności, dzielność imaginacyi, wszystko pomnaża nasze rokosze i natęża żądę. — Jakże w tej epoce życia świat jest przyjemnym! jakich użycza lubości! jakże przyobiecuje dobra! — Niestety! ta czarująca scena znika z wiekiem, w którym się stwarza. — Oma-

mienie próżności następuje za omamienie serca. — Interes, dumma, zazdrość, idą za czułą przyjaźnią i gorącą miłością. — W bojaźni, nadziei i niepomyślnych jej skutkach, postrzegamy mięszaninę dobrego i złego; już się w ten czas świat odmiénił, ale jeszcze jest znośnym. Aż téż przychodzi starość, a z nią choroby, troski i żale, w ten czas dopiero wszystko się nam zdaje odmiennem, choć się nie prócz nas nieodmiénilo. — Piérwsza rzecz, mówi la Bruyere, co się przytrafia ludziom, którzy dla przyzwoitości lub przez sytność wyrzekli się rokoszy, jest naganiać ją w innych. — Chcieliby oni, ażeby dobro, które nie jest dla nich, nie było już dla nikogo dobrém. — Tak to przez stosunki zawsze do siebie zwracane, mniemamy, iż porządek, lub nieład około nas panuje. — Stawiamy o wartości rzeczy i ludzi, podług zawsze mylnego prawidła, ponieważ dajemy się uwodzić zawsze naszym zmysłom lub naszej próżności. — Jeżeli ogół naszych niesmaków większy jest od ogółu naszych rokoszy, świat jest niezmiernie popsuty; jeśli przeciwnie, wszystko naszym chęciom sprzyjać się zdaje, wpa-

damy, w śmieszne najlepsze marzenia. — Zostawmy więc starcom narzekania, a młodym uciechy, nietamujmy biegu rzekom, i powiedzmy: Tak świat idzie. —



PRZESTROGA.

Nietryumfuj dziewczę z młodu,
 Że masz serce z lodu;
 Nieprzyganiaj wiosny słońcu,
 Aż przy maja końcu.
 Zrana róża na gałęzi
 W pączku serce więzi;
 A w południe przecie snadnie
 I motyl wnie wpadnie.
 Wtedy pszczola kwiat całuje,
 Kiedy słodycz czuje;
 I twe wdzięki, o! dziewczyno!
 Złada rankiem miną.
 I na ciebie, bluszczu młody!
 Przyjdą niepogody;
 Patrz więc wsparcia kolo siebie,
 Chceszli zbawić ciebie.
 Dwie są drogi do zbawienia,
 Na tych szukaj cienia;
 Miłości powabne pęta,
 Albo przyjaźń święta.
 Szczerą przyjaźń, moje dziecie!
 Rzadką jest na świecie;
 Miłość dzieckiem jest piękności,
 Więc szukaj miłości.
 Ty się śmiejesz, twoje usta
 Wdzięczy radość pusta;
 Byłoby to z mej, o! bogi!
 Niewczesnej przestrogi?

Swawolnico! niedaruję,
 Skarzę, wycaluję;
 Jam wierzył w twój głos uroczy,
 Niepatrzając w twe oczy. J. N. J.

ZAPALONY ARTYSTA.

W galeryi obrazów pewnego miasta w Szwajcaryi, znajduje się obraz wystawiający okropne położenie zgłodniałej rodziny ostatnie prawie wydającej technienie, przez własnego teź ojca odmalowany. W chwili bowiem, gdy po długiej nieobecności w domu, tamże powrócił, został ten zapalony artysta zachwycony wyrazem boleści w twarzach nieszczęśliwej rodziny, przez jego lekkomyślność, iż zamiast pomyslenia o przyniesieniu jej ulgi, wziął się do pędzla, i bardzo trafnie uczucia nieszczęśliwych w twarzach ich wyraził. Dzieło to atoli, wzniosłszy już i tak ustaloną wziętość malarza, powszechne przeciw jego charakterowi obudziło zniechęcenie; jakby na przekazanie potomności wspomnienia na tak niegodne uwiecznienie talentu, umieszczono na przeciw tegoż obrazu jego własne wyobrażenie s podpisem: *Holbein*. Rzeczywiście należał on do najslawniejszych owego czasu malarzy.